Nro 4.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 10 lutego 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 27 stycznia 1844.

Stroje damskie. Zabawy i bale najświetniejsze wyścigają się na przemian po tutejszych salonach. Uważano że co do strojów panuje w nich rozmaitość tak wielka jak nigdy. Daleka od tego aby była kiedykolwiek wyłączną i rozkazującą, moda jest dziś nadzwyczaj wyrozumiałą i łatwą. Zostawia ona każdemu zarządzać swym krojem według osobistego gustu, stosownie do swej budowy i fizionomii; dla tego nie widać w tej chwili sukień lub strojów głowy odwzorowanych co do joty i niejako pożyczonych, któreby o ile odpowiadały pierwszemu ich właścicielowi o tyle były niestosowne dla drugich.

Otoż co do ubrania głowy, otrzymały stanowczą wziętość ubrania dość wysokie. Włosy lekko na grzebieniu owinięte noszą damy które tu zwykle ton dają, a ztąd sposób ten przyjęty jest powszechnie osobliwie od tych którzy długi czas włosami pięknemi szczycić się pragną. Róże wszelkiego rodzaju, dalie i w ogólności wszystkie kwiaty większe poszukiwane są w tej chwili.

Takież same są ozdoby sukień, a kwiaty dają się w pojedynczych gałązkach i służą najczęściej zamiast agrafy po obu stronach wolantów lub też do podpięcia sukień o dwoch spodnicach.

Stroje jakie w tej balowej porze najwięcej ściągały uwagi, są następujące. Suknia atłasowa koloru różowego z niebieskim, otwarta nad śrebrzystemi deseniami, obie strony otworu obrócone są ku górze i formują jakby dwa kręgle utrzymywane za pomocą śrebrnego galonka. Byłato suknia wizytowa. Dwie inne były w takimże stylu, jedna atłasowa, druga morowa w bladych odcieniach, ta ostatnia otwarta była tylko po jednej stronie, a ozdobiona śrebrzystemi blondynami i miała przepaskę takoż śrebrzystą, stanik bardzo fałdzisty, drapowany, rękawy króciuteńkie drapowane, ze stosownemi szlarkami.

Inna suknia była atłasowa jednostajna, ozdobiona szarfą tiulową nasadzaną blaszkami, z śrebrnemi fręzlami u dołu. Szarfa ta sięgała do przepaski i miała formę wachlarza. Ten rodzaj ozdób jest zupełnie nowy i w dobrym guście.

Wielka ilość sukień to morowych, to axamitnych, to atłasowych ze spodnicą otwartą i z dość wydatnym ogonem, ozdobiona była dwoma rzędami korunek angielskich, bardzo szerokich a nawet stanik był ozdobiony takiemiż korunkami położonemi gładko i w trzech odstępach podtrzymywanemi za pomocą fontaziów *à la Montespan.*

Na uczty, koncerta, zabawy poufne służy najlepiej strój głowy składający się z kapotki blondynowej bez denka, ozdobionej kwiatami, lub też czypeczek zgrabny, z tiulu kolorowego, lub też z bogatej blondyny, ozdobiony kwiatami i wstążkami. W ogólności stroje głowy najulubieńsze, bywają szerokie, ozdobione półwieńcem z kwiatów na czole.

Rycina przedstawia: stroje głów i suknie balowe; tudzież suknię ślubną.

Stroje męskie. Fraki noszą teraz z guzikami jedwabnemi, kołnierze dają sukienne z podwójnem wycięciem. Poły u dołu są prawie równe i formują kąt prosty w otwarciu fraka. Po bokach nie dają się patki, lecz co do tego szczegółu pytanie jest dotąd nierozwiązane, czy mają się dawać patki przy modnych frakach lub też wcale nie.

Spodnie do salonowego stroju są wpółobcisłe, które przy trzewikach dobrze się wydają.

Na rycinie dzisiejszej przedstawiony jest paletot z szerokim i długim stanem.

DWA ZDYBANIA

powieść

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

Dokończenie.

II.

Przywitanie.

Byłoto jednakże szczególne wydarzenie w salonie lipowskim, które się przytrafiło w lecie roku 1841; bo proszę tylko posłuchać....

Jak to było zwyczajem od kilku miesięcy, siedziała w godzinach popołudniowych gospodyni tego salonu pani hrabina Rowoska dama dobrze w stolicy znana z dobrego tonu, którego jest nieomylną ochmistrzynią; oparta o kanapę rzuciła xiążkę, a zadarty swój nos do góry wznioślszy zdaje się nie tak marzyć o myśli jakiej jak raczej wietrzyć za nią: tuż koło niej siedzi jej córka zajęta przerzucaniem świeżo nadeszłych ze stolicy żurnalów.

Dalej nieco siedzi przy oknie mężczyzna ciekawej ze wszech miar postawy; twarz jego brzydka stara i zgrzybiała nawet, policzki zapadłe, żółtością starego pargaminu powleczone, usta sine, oczy zaś bez wyrazu prawie jak dwa gasnące węgle popiołem starości zasypane ledwie się świeciły przez zgrabne okulary złote; więc to starzec! ale strój jego jakby z ostatniego żurnalu wycięty pełen wytworności i lekkiej świeżości, barwy sukień żywe wiośniane, jaskrawa chusteczka skrzydlatym węzłem spięta na wyschłej ztwardniałemi żyłami jakby sękami sterczącej szyi, bogactwo włosów na głowie ciemnych choć się czerwienieją przeciw światłu, młodzieńcem go być wydają: siedzi nawet na taboreciku tak filgranowym, i tak się lekko o niego opiera, iż prawdziwie dziwić się wypada jakim sposobem na tak małem miejscu może pomieścić i lata swoje, i ociężałość zgrzybiałego ciała, i pedogryczne napady. Gdyby nie wyraz chciwości i namiętności źle wygaszonych, który się wyszczerza z obwisłych ust jego, zrobiłbym mu zaszczyt porównania go do naszego poczciwego starego zamku krakowskiego, którego sędziwe zarysy ubrało dzisiejsze pokolenie tak pięknym zielonym i świeżym młodych szkarpów strójem. I siedział młody ów starzec głęboko zajęty czytaniem olbrzymich, prześcieradłowych dzienników zagranicznych.

Owoż dotąd nic nadzwyczajnego w salonie lipowskim który od roku już przyzwyczaił się do tej trójki nierozdzielnej... proszę jeno słuchać dalej!... Nagle cichość poobiednią przerwało stąpanie mocne męskie i gwałtowne, które niezdawało się zwiastować gościa godnego salonu pani hrabiny; drzwi się otwarły z łoskotem godnym karczmy a przynajmniej parafiańskich sąsiadów Lipowa — i wszedł!... wszedł!... proszę uważać... nie anonsowany jakiś jegomość w paletocie podróżnym. Wietrzący nos hrabiny wyciągnął się naprzód; poszły za nim oczy trójki zdziwionej, bo nowo weszły żadnemu z nich nie był znajomy, a co gorzej stanął we drzwiach otwartych z wyrazem tak szczególnym iż trudno odgadnąć co w nim przeważało, zdziwienie, radość, czy smutek? Stoi jakby przykuty, czyli raczej przylepiony do zielonego sukna którym dla większej wytworności wybito [illegible]dzkę salonu; ogląda się wkoło tak niezgrabnie ja[illegible]y w lesie drogi szukał, ani myśli witać siedzącej i zapyrzonej gospodyni, która jednakże rzutem oka doświadczonego dostrzegła w podróżnym paletocie przystojnego, pełnego życia i ognia czarnookiego młodzieńca; z bródką na twarzy świadczącą o lepszej znajomości światowej niżeli tego dowodził nieprzyzwoitem wstąpieniem swojem do salonu.

— *C'est inoui!* rzekła córeczka.

— *Et on laisse entrer!* dodała mamunia.

— Temi słowy zbudzony młodzieniec szybkim krokiem przyskoczył do kanapy, rzucił damom przelotny ukłon, w którym więcej było istotnej znajomości świata niżeli chęci brylowania, i wyrzekł głosem nadzwyczajnie dźwięcznym. »Panie darują memu roztargnieniu, ale wszedłszy w to miejsce, tyle myśli i przypomnień tłoczyło mi się do głowy iż prawdziwie odszedłem od siebie; już tak dawno niebyłem tutaj... tak dawno! dodał po chwili, rzucił się na krzesło i uderzył w głowę jakby chciał odegnać przykre myśli swoje.

Pojrzały damy po sobie z zadziwieniem trudnem do opisania i posuniętem aż do pół przestrachu; stary elegant zaczął pomału zbliżać się do kanapy z przezornością kota.

— To bardzo pięknie! przemówiła hrabina; *mais....*

— *Mais...* powtórzyła córka....

— *Qui etes vous?* dodała matka.

— Przebaczcie panie, ale mniemałem być im znajomym, mniemałem że mnie panie poznają choć lat tyle minęło.

— Zaręczam... zapewniam pana... odpowiedziała hrabina, która prawdziwie mimo całej światowości swojej nie wiedziała co jej mówić wypada, mając bowiem wzgląd na ułożenie nieznajomego mogące zwiastować ważniejszą nad pozór osobę bała się by się nie nadto wymówić. *»Je suis trés charmée* ale *je n'ai pas l'avantage; Mariette vous connaissez monsieur?*

— Mnie się zdaje że my na komedii, odrzekła dowcipna Marysia.

— Jestem....

— *Bon jour ma tante!* ozwał się głos od drzwi wchodowych.

— *Vous êtes bien aimable ma nièce,* żeś o nas nie zapomniała.

Na ten głos młody niewieści, jakby elektryczną iskrą poruszony, skoczył młodzieniec z siedzenia swego, chciał pobiedz ku wchodzącej; lecz postrzegłszy wyraz zimny obojętny i prawie zadziwiony na pięknej twarzy, stanął nagle i z widocznym rzekł przymusem. »Te panie mnie nie poznały; panna Wawrzyna zechce łaskawie....«

— Wawrzyna! z uśmiechem pełnym złośliwości powtórzyła hrabianka; cóż to Wawrzyna?...

— To po polsku, odrzekła matka pogardliwie; zamiast Laury, dobre słowo w botanice.

— Zechce łaskawie przedstawić mnie tym paniom, ciągnął młodzieniec dalej.

— Nowo przybyła rzuciła wzrok długi i przeciągły na mówiącego; z twarzy nie zrozumieć czy go poznała, z ciągłą bowiem obojętnością zrzuciwszy kapelusz podróżny, przystąpiła bliżej i rzekła. »Tak jest w rzeczy samej, nie mylę się, to pan Zygmunt Orlecki towarzysz podróży biednego Władzia, *que je vous présente ma tante.*

— Pan Orlecki! przeciągnęła matka.

— Pan Orlecki! powtórzyła córka.

— A przypominam sobie, *de vous avoir vu* u *feu* starościny matki mojej; pan z zagranicy powraca? słyszeliśmy wiele o jego talencie malarskim.

Zygmunt nic nie odpowiedział, nie wiem czy słyszał nawet słowa których tylko głos niewyraźny dochodził uszów jego; on patrzył w lica pięknej Wawrzyny która stała o pare kroków od niego w całej okazałości rozkwitłej urody dziewiczej, patrzył w lica białe jak marmur, i jak marmur nieruchome: żaden rys przelotny nie zdradza jej myśli wewnętrznych, bo tam na czole jakby wieńca królewskiego brylanty świecą: duma, obojętność i wiara w siebie. Piękniejszego posągu nie widział Zygmunt w całej podróży swojej.

— Przez usta niepięknej i dawno przekwitłej Marysi przeleciał uśmiech szyderczy. »Ja nawet widziałam jeden obraz tego pana; podobno trzy parki snujące nić życia bardzo naturalnie; osobliwie udały się panu nożyce... te nożyce... i świszczącym uśmiechem zakończyła koncept którego by dowcip zrozumieć trzeba było wiedzieć że ojciec Zygmunta był krawcem.

— *Soyez le bien venu!* przerwała matka; mój salon otwarty dla wszystkich talentów: *grace à Dieu* minęły czasy w których uważano na urodzenie; za *feu* starościny matki mojej to jeszcze z herbarzem w ręku przyjmowano gości do tego samego salonu.

— Pani starościny arystokracia, odpowiedział Zygmunt, była arystokracią aniołów; o znam ja ten salon!... i jeszcze się raz obejrzał, lecz w pamięci już tylko mógł go poznać, tak przez jeden rok potrafiła hrabina zmienić dom lipowski który po śmierci starościny działem spadł na nią. Obrazy poszły precz, na strych zapewne, ich miejsce zastąpiły obicia w świecące szerokie kwieciste pasy, a meble zaś u hrabiny rokoko; a przecież te rokoko co niby ma być powrotem do starożytności jakże się różni od prawdziwego dawnego przystrojenia, rzeźbami i kształtem niezgrabnie naśladowanym zdaje się przedrzyźniać owe dawne sprzęty których najlepszą ozdobą był istotny pożytek i trwałość: zdaje się że jędrne i mocne wyroby dawnych rzemieślników jakiś naśladowca nieudolny rozdarł, rozdzielił, rozsztukował wiatrem nadął, by starczyły na te tysiączne rznięte dęte i krajane meble, na których niebezpiecznie siadać ku pełnej wygodzie.

— Dziś te arystokratyczne przemieniły się czasy; my innego jesteśmy zdania; najlepszy tego dowód w naszej pan widzisz familii: *ma fille à opousé* pana Widmot który był *un des premiers medecins* w Londynie, *que je vous présente ici.*

Zygmunt darmo słuchał, on nic nierozumiał, bo nie mógł zrozumieć wyrazu na twarzy pięknej Wawrzyny, którą słyszeć i widzieć tyle dni, miesięcy i lat żądał; on nic nie widział choć się w koło oglądał, bo niemógł dostrzedz na twarzy pięknej Wawrzyny tego wyrazu, o którym jadąc do ojczyzny marzył dnie i noce. Jemu się zdawało jakby był w pół obudzony, co sen, co rzeczywistość, pojąć jeszcze nie może, w głowie mu się męci, serce bije namiętnie, oczy rzucają tak ogniste, tak gorące spojrzenia! a przecie posągowa oziembłość pięknej Wawrzyny nie topnieje przed tym ogniem, przed pigmalionowemi spojrzeniami jego piękna nieożywia się Galatea: i chce obudzić się, domyśla się, że w tym salonie Wawrzyna inną być nie może, ale w samotnej chwili!... o tak on zdybie dawną niewinną Wawrzynkę; wszak jeżeli się nie myli tylko co rzuciła choć przelotne ale naumyślnie ku niemu zwrócone spojrzenie... Czy co było w tem spojrzeniu czy nie?... on malarz, poeta, młody, marzony swój raj w nim widział, i uspokoił się na chwilę, a postanowił męską wolą zrzucić z siebie ten pozór niezgrabności tak nieprzyzwoitej w salonie zacnej hrabiny.

*

— Pan zapewne osiedlić się zamyśla w ojczyznie; zagadł pan Widmot zdejmując złote okulary; i sprawiedliwie, talentem zarabiać to bardzo pięknie, a jeszcze piękniej do ojczyzny przywieść zarobiony kapitał, aby nim rozsądnie działając....

— Teraz jest wiele dóbr do przedania; ciągnęła pani domu.

— W tej chwili kiedy Zygmunt myślał właśnie nad odpowiedzią stosowną, i ku hrabinie się zwrócił, spojrzała na niego Wawrzyna z uwagą niezwyczajną.

— Ja myślę że nie talent bogaci, ale raczej usposobienie osobiste, które nie zawsze bywa skłonne do składania kapitałów; wielu znałem artystów za granicą, którzy więcej dla sławy niż dla złota pracowali....

— *Mais c'est trez beau,* ale pan jesteś zapewne *pour l'utile!...*

— Ja mniemam że w tej mierze najlepiej byłoby połączyć pożyteczne z przyjemnem... Ale nadto długo już trwa roztargnienie moje, które mi pozwoliło wejść w stroju tak zaniedbanym....

— Będziemy mieli dzisiaj wieczorem *une petite reunion;* tak sobie po wiejsku... *nous vous attendons Monsieur,* dodała z ukłonem prawie żegnającym: a gdy odszedł pan Zygmunt, hrabina obróciła się do bratanki, i rzekła z wyrazem pełnym pogardy. »Ten twój malarz jest goły jak uważam.

— Szkoda, bo wcale nie brzydki; nieprawdaż *ma cousine?...*

— Dla czegoż tak jesteś milcząca dzisiaj, czyś nie słaba Lorko?...

— Myślałam w tej chwili o Władziu, którego mnie pan Orlecki żywo przypomniał....

— Jakkolwiek zdaje się być goły, wypada go zatrzymać, dodał Widmot idąc do swojego stolika; niech nam przynajmniej kilka obrazów wymaluje; czytałem w konstitucionelu rozbiór jednego obrazu historycznego, który był na wystawie w Paryżu, i wielce się podobał: konstytucionel całe dwie kolumny zapisał o młodym Orleckim; Anglik jeden kupił ten obraz za 20000 franków.

— *Vous avez raison monsieur Vidmot; il faut exploiter ce talent,* a ty kuzynko pomożesz nam do tego....

— Ja?.. zapytała, i po raz pierwszy od czasu wejścia do salonu twarz jej ożywiła się lekkim ledwie dostrzeżonym rumieńcem: żartujesz sobie Marysiu, ale czas uchodzi, trzeba pomyśleć o tualecie....

— Warto nawet moja Lorko; będziemy mieli kilku panów, ale jakich? nie powiem bo to siurpryza dla ciebie....

— *Une pauvre surprise assurement...*

— *Au contraire ma cousine; une bien riche.*

By zrozumieć uczucia jakie miotały Zygmuntem przez czas strojenia się na bal, trzebaby się wcielić w to usposobienie jego namiętne i burzliwe; wejrzyć w to całe jego życie artystyczne jakiemu się oddawał przez sześć lat niebytności w ojczyznie; te życie podróżne pełne poezii istotnej i wymarzonej; całe tygodnie poświęcone pracy pożytecznej, połykającej wszystkie siły żywotne młodzieńcze, a w nagrodę całe miesiące oddane marzeniom poetycznym, nieba włoskiego, gór Szwajcarii, najpiękniejszych dzieł sztuki, które pojąć i zrozumieć Zygmunt umiał doskonale. I przez ten cały czas jedna myśl towarzyszyła mu do pracowni, wlewała mu się w pęzel, w doborze barw jaśniała, w wyborze przedmiotów przewodniczyła, do pracy nagliła, i pracy była najmilszą nagrodą; i przez ten cały czas jedno uczucie grało w piersi młodej żadnym fałszywym oddźwiękiem niezepsutej, jedno na fali morza adriatyckiego, jedno na szczycie Alp, jedno i niezmienione w towarzystwach żyjących, i ponętniejszych dla niego towarzystwach posągów, i obrazów!... A dziś czemże przyczepić tę nić złotą myśli do rzeczywistości; jakiem uczuciem spoić wczoraj i dzisiaj... Nie opisać zimnemi słowy tego stanu, którego on sam nie jest dokładnie świadomy!...

Zjeżdżali się goście, i zaczął się bal; wszedł w towarzystwo młody Zygmunt. Zgroza go przejęła; na salę balową przemieniono galerię wychodzącą na ogród, rodzaj staroświeckiego krużganka, w którym za starościny pozawieszane były stare zbroje i obrazy rodowe i historyczne razem, bo dzieje przodków starosty ścisle wplątane były w dzieje ojczyste. Znikły zbroje, znikły stare obrazy; ich miejsce zastąpiły nowożytne malowidła, sztychy, litografie!... Jeszcze wiecej cudzym ujrzał się Zygmunt w tym domu, który mu tak długo zastępował miejsce gniazda ojczystego; tu w tej galerii gonił pierwsze swe myśli, bańki mydlane; tu widok zbroi dawnych uszlachetniał duszę jego; widok obrazów rozruszał pierwszą iskrę talentu: tu on przeżył tyle chwil swobodnych bogatych w rojoną przyszłość, a niepowrotnych!... Towarzystwo mu nieznane; wśród ludzi jak w pustyni szuka twarzy człowieczej!... Są stroje, kwiaty, brylanty, jakby w pierwszym salonie ukształconego świata, ale rozmowa.... Zimno biednemu poecie, malarzowi!...

Długo szukał, zdybał nareszcie; nieśmiały stanął przed nią, chciałby uklęknąć jak przed królową, chciałby uscisnąć jak siostrę lat młodszych; ucało-

wać jak towarzyszkę podróży, marzeń i pracy. Snać grzeczna Wawrzyna zlitowała się nad nieśmiałością jego, i przemówiła do niego głosem, owym głosem, który mu ciągle z ojczyzny przez góry i przestrzenie dolatywał zawsze żywy, zawsze dźwięczny, zawsze miły. Pan Orlecki daruje moje przywitanie; byłam zmieszana tylo razem pamiątkami przeszłości....

— Więc nie zgasły te pamiątki? wykrzyknął....

— Czyż przyjaciel brata mego może wątpić?... W tym rój młodzieży który zdala okalał piękną Wawrzynę, zbliżył się do mówiących. »Spodziewam się że pan nie gniewasz na mnie, a na dowód nie odmówisz pierwszego kontradansa: i znikła jak widziadło w chmurze czarno strojnej młodzieży!...

Po chwili zagrała muzyka; z trudnością przepychał się Zygmunt przez cudze sobie tłumy, które go ciekawemi mierzyli oczami. Ułamki słów w koło niego mówionych ledwie go dochodzili; a szkoda! z nich bowiem byłby się dowiedział jak ważną dla wielu ciekawych jest figurą.

— Kto to taki?... pytają jedna i druga matki obciążone córkami wiszącemi u ich boku jak pełne prześcigłe upadkiem grożące grona obok wysychającego drzewa rodzinnego.

— To cudzoziemiec!...

— Coś ma szlachetnego w sobie....

— Jokoś mu źle patrzy z oczów.

— To bogacz! wrzeszczy do ucha jeden nowiniarz żartobliwy.

— To hołysz! szepce głosem trąbki drugi złowieszczy nowiniarz.

— To spiewak włoski!...

— Mamo! mamo! niech on zemną spiewa, *Idolomio z Tankreda,* powiada parafianeczka, która przed dwudziesto jeszcze laty bywała w stolicy.

— To poeta!...

— Brawo! będzie nam deklamował!...

— To xiąże inkognito!...

— O mój boże jaki on ładny, jak ten Apollo co tu wisi.« Bym nie zapomniał powiesiła go hrabina w miejscu naszej dzielnej Chrzanowskiej.

Przepchał się nareście, i pociągnął odważnie jak po swoję, po rękę ślicznej Wawrzyny....

— *Je danse avec Monsieur*.... rzekła mu głośno; a ciszej: »niemogłam temu panu odmówić... i poszła do figury z owym jegomością którego część najważniejszą stanowił kulowaty choć obcisły brzuszek usadowiony na dwóch cienkich nużeczkach.

— Kto jest ten pan? zapytał Zygmunt ze zgrzytnieniem stojących dwóch młodzików z długiemi utrefionemi włosami na głowie, jakby u dzieci małych.

— To pan Bożycki!... nowa spadła na niego sukcesyja, po jakimś tam wujaszku; mówią że będzie miał teraz ze dwanaście tysięcy czerwonych złotych dochodu....

— A ojciec jego golił brody!...

— Szczęśliwy! westchnęli obydwa... Jeden z mówiących był hrabia goły, drugi xiąże jeszcze golszy: usłyszał ich nazwiska Zygmunt i zadrzał... Ból czuje jeszcze większy w sercu, ale głowa zaczyna już lepiej rozumieć! Ucieka; zatrzymuje go w drodze nowy ścisk; kilku parafiańskich sąsiadów hrabiny co poznać po kroju fraków nie tegorocznym, a minach rzęsistych i rubasznych rozmawia między sobą.

— Głupstwo!... niewarto polować; skura lisia po niczemu.... o zajęczę nikt nie pyta nawet....

— A jak posłać do miasteczka zająca lub dubelta, nikt kupić nie chce....

— Mówią nawet dobrodzieju, że już za wilki płacić nie będą.

Włosy na głowie Zygmunta powstały; i tu pieniądze!... Goni dalej po sali, szukając spoczynku, i natrafił na grono nietańczących dziewcząt stojących razem jakby klomb kwiatów....

Wierz mi moja Stasiu, mówi jedna; ja to słyszałam od papy: zadłużony po uszy....

— Ależ powóz, konie, pierścienie....

— To pożyczone na lichwę; zagadła gruba do ściśniętego przez pół worka podobna dziewoja głosem basu...

— Wolę ja Ferelskiego; konie w starych chomontach; koczyk jak ciotunia powiada Danglowski jeszcze, ale ma dukaciki w szkatule....

— I wiesz Zosiu gdzie je chowa....

— Gdzie?... gdzie?... gdzie?...

— Nie mogę głośno powiedzieć; i zaszeptała do drugiej....

— Pfe! to nie może być!... Śmiech wesoły powstał, a Zygmunt zadrzał widząc jak daleko przez czas jego niebytności posunęło się wykształcenie w jego ojczyźnie: skoczył jakby od gadziny ukąszony, aż się wszyscy obejrzeli za nim.

— To aktor pierwszy w Paryżu! szeptał nowiniarz żartobliwy....

— Strzeżcie się panie, to warjat, uciekł z Pijarów mruczał nowiniarz złowieszczy....

Oparł się Zygmunt w ostatnim oknie galerii: same pamiątki, same odczarowania... tu z tego okna ileż razy patrzał tam na staw, na ogród; ile razy czarujący ten widok pokazywał Władziowi, Wawrzynie; tu nieraz spiewali razem; tu poezie pamiętane dodawali do poezii widoku, do poezii xiężyca, wody,

i młodego wieku!... Gdzie ta przeszłość?... gdzie nadzieje rojone? gdzie te dawne obrazy?... i żywo obrócił się do ściany, bo tu na niej, naprzeciw tego okna wisiał ulubiony młodego Zygmunta obraz przedstawiający xięcia Józefa Poniatowskiego skaczącego w rzekę.... Patrzy; i ściana to samo mu odpowiedziała co mu od czasu przyjazdu do Lipowa mówi ciągle całe towarzystwo — pieniądze! zamiast dawnego obrazu widzi portret sztychowany mężczyzny w czarnym fraku z wyrazem zimnym choć dowcipnym na twarzy; a podpisano wielkiemi literami, imie jakiegoś bankiera. Ruźnica przeszłości i terazniejszości stanęła mu żywo przed oczy; różnica starościny i hrabiny, towarzystw dawniejszych i dzisiejszych; nadziei i rzeczywistości!... Zbiegł schodami do ogrodu, i znanemi ścieżkami pogonił ku pawilonowi, który niegdyś wystawił pan Kazimierz, najmłodszy syn starościny, a w którym przed swym wyjazdem za granicę mieszkał sam z Władysławem Staroliśkim; przeszedł kilka pokoi, raptem stanął; rozrzuconych pare strojów kobiecych, gotowalnia pełna fraszek ładnych lekkich i wonnych zdawały się świadczyć że tu niewiasta jakaś mieszka: od wchodu dał się słyszeć szelest, i wbiegła Wawrzyna trzymając w ręku girlandę z kwiatów, która sie odpieła z głowy w czasie tańcu.... Zdziwieni stanęli na przeciw siebie!...

— Przeznaczenie nas tu przywiodło! wyrzekł głosem pewnym Zygmunt; przed tą chwilą stanowczą tak długo wymarzoną drzał nieraz Zygmunt jak mała dziewczynka przed pierwszą spowiedzią, ale teraz miotany niepewnością i przeczuwaniem złego gorszym nad najgorszą pewność stał się śmiały: tak jest przeznaczenie!... Wawrzyno! Wawrzyno!...wszak tyś się nie zmieniła, gdy się tak okropnie w całym domu wszystko przemieniło....

— Prócz twojej panie Zygmuncie porywczości namiętnej; odpowiedziała z zimnym choć słodkim uśmiechem....

— Wawrzyno! mów do mnie jak dawniej; pamiętasz tu w ogrodzie, w zamku, ach! wszędzie są pamiątki naszych rozmów dawniejszych; pamiętasz chwilę przy stawie, kiedy niepomnę jakim czy słowem, czy wzrokiem twoim do rozpaczy przywiedzion, chciałem się rzucić w wodę: i mówiłem albo ciebie, albo grób!— a tyś Wawrzyno głosem tym samem co dzisiaj powiedziała zatrzymując za rękę. Mnie!... mnie! powtórzyłaś; bóg to słyszał, a Władzio nas uściskał!...

— Panie Orlecki ja to pamiętam, żeś był przyjacielem mego brata, biednego Władzia mego!... żegnając go, czyż mogłam przewidzieć że go już nigdy nie zobaczę....

— Na moich rękach skonał!... O boże ty widzisz co cierpiałem....

— Smierć jego przyspieszyła zgon babki naszej... wkrótce potym i matka moja....

— On mi był bratem do ostatniej chwili... i czy wiesz Wawrzyno jakie były ostatnie słowa jego. Bracie! rzekł: Wawrzynki szczęście tobie polecam.... I przysiągłem, twoje szczęście okupić własnym; powiedz Wawrzyno! chceszli bym cie porzucił, chcesz bym zginął?... bo zawsze, zawsze powtarzać będę... ciebie lub grób!... Powiedz! powiedz! słowo, jedne słowo, Wawrzynko moich marzeń, powiedz!...

— W tenczas byłam Wawrzynką, i wolno mi było myśleć i czuć jak Wawrzynka....

— A tenże list pamiętasz? list przy pożegnaniu mi dany; na sercu go trzymałem moim przez całą drogę; biciem tegoż serca chciałem przyspieszyć podróż, by prędzej stanąć w Rzymie... Otworzyłem!... gdybyś wiedziała rozkosz jaka mnie przejęła! jam w tej chwili wolność moją tobie na wieki zaprzedał... Tu! tu jest ten sam list!... Wawrzyno słuchaj!... »Zygmuncie! ja ciebie kocham, kocham nad życie; pierwsza ci to mówię, bo taka miłość jak moja dziecinnym nie powinna kalać się wstydem. Chcę byś list ten w Rzymie przeczytał; tym bowiem sposobem pierwsza może myśl twoja nie będzie poświęcona dziełóm sztuki do których się spieszysz: a za sześć lat, kiedy już tak długo macie zabawić, jak wrócisz zastaniesz niezmienioną i wierną do śmierci oblubienicę twoję Wawrzynkę....

— Wawrzynkę!... powtórzyła głosem tak zimnym, aż dreszcz przebiegła przez kości Zygmunta. Panie Orlecki, sześć lat doświadczenia powinny cię były nauczyć, że co przystawało Wawrzynce i Zygmuntkowi dziecióm, to nie przystaje Wawrzynie Staroliskiej, i Zygmuntowi Orleckiemu dziewicy i mężowi....

— A jeżeli to doświadczenie nic mnie nie nauczyło?... Wawrzyno zastanów się nad tym co mówisz; sześć lat minęło powiadasz!... a wieszże o tym że przez całe te sześć lat ja pracowałem dla ciebie tylko, ja marzyłem o tobie tylko, tobą żyłem, nadzieją widzenia ciebie... Słuchaj! jeżeli mój pędzel uzyskał nieco sławy, to dla tego żem rysy twoje, uczucia moje, i nadzieje rzucał ognistemi barwami na płótno!... Zobacz jeno!... najpiękniejsze obrazy moje są te, w których ty! zawsze ty Wawrzyno czy z piany morskiej występująca!... zawsze ty! czy w koronie xiążęcej, czy w szacie pastuszej, czy w wieńcu męczeńskim; i te obrazy wszystkie są moim skarbem!... Garście podłego złota odrzucałem, bo to moja własność... i dla tego Wawrzyno ja niemam kapitałów,

ja niemam za co kupować majątku ani w ojczyźnie, ani w cudzyznie, ale mam serce!... takie serce które sześć lat przetrwało wiary niezłomnej, nie jestże droższym nad złoto, nad urodzenie?...

— Panie Zygmuncie! ty byłeś i jesteś poetą; całe twoje uczucie jest poezią, jest pięknym zapewne cackiem twojej wyobraźni, ale kruchym cackiem zawsze: rzeczywistość innemi przemawia do ciebie słowami. Dla ciekie panie Zygmuncie życie przeskakujące ze zbytku do nędzy, z pałacu do lepianki, z opery włoskiej do puszczy odludnej: dla ciebie, ponieważ tak sobie wybrałeś życie pełne poezii, życie pełne ułudy: dla mnie kobiety w zimnej Polszcze urodzonej, kobiety zwyczajnej codziennej, dla mnie życie spokojne i wygodne; smutno to powiedzieć i przykrym ci się to wydać może, ale tak jest w istocie, dla ciebie sława, dla mnie majątek. Ty bez sławy żyć nie możesz, a ja ci powiem szczerze bez majątku nie obejdę się.

— Wawrzyno niechciej bym się tobą brzydził, tobą którę ubóstwiałem....

— Przesady poetyckie mój panie Orlecki, z jednej ostateczności przeskakujesz do drugiej; bądźmy rozsądni!... Wierz mi mój Zygmuncie ja ci szczerze sprzyjam i pamiętam naszą przeszłość dziecinną jak sen piękny, najpiękniejszy może, piękniejszy od tego wszystkiego co mi dotąd dało życie rzeczywiste, ale zawsze sen tylko! a jużciż musiemy żyć na jawie. Chce twojego szczęścia, i dla tego właśnie niechce do twego podróżnego życia lekkiego pakunku wymagającego przyczepiać ciężar żony wziętej z salonu miejskiego; ja się mój przyjacielu nie pomieszczę w austerii kalabryjskiej tak bogatej dla ciebie w dziką poezię, a tak ubogiej dla mnie w konieczne wygody: w twoim życiu inny jest rachunek, a w naszym zupełnie inny; waszą monetą są chwile, naszym pieniądzem po prostu złoto banknoty. Patrzysz na mnie zdziwiony, nie pojmujesz mnie, ja ci jednakże szczerze mówię i fałszu nie używam na przeciw przyjaciela mej młodości, mam pietnaście tysięcy czerwonych złotych majątku, to wiele na kilka chwil waszych. to bardzo mało na moje życie, strojów, salonów, powozów, koni i brylantów; przez chwilę jedną pędzlem zarobisz, przez drugą chwilę wyrzucisz za okno i będziesz przecie szczęśliwy; a ja do szczęścia mego potrzebuję koniecznie męża któryby miał czystego i pewnego dochodu najmniej dziesięć tysięcy dukatów.

— Wawrzyno ty jesteś okropna!...

— Ja jestem szczera i nie poetka! Zygmuncie masz rękę moją, usciśniej ją po przyjacielsku.

— Precz! precz z nią!... a po chwili w której wszystkie żyły jego drgały jakby pęknąć miały dodał; bodaj czego się dotkniesz zmieniło się w złoto!...

— Dziękuję za życzenie, byłabym w ówczas szczęśliwa! rzekła z uśmiechem i przypiąwszy szybko girlandę do głowy znikła.

A gdy bal się skończył nie było już Zygmunta w Lipowie.

W rok potym siedziała trójka w salonie; Wawrzyna nadjechała jak przed rokiem; panna dotąd, chociaż miała starających się po pięć sześć nawet ośm tysięcy dukatów dochodu, nie poszła przecie za mąż: zawsze zimna i obojętna, ni uczucia bolu ni rozkoszy nie widać na obumarłej twarzy.

— Jeszcze rok! mówiła do ciotki, a spuszczę wyrachowanie moje na osiem tysięcy dochodu.

— Słuchajcie! słuchajcie! krzyknął pan Widmot; wiadomość z Algieru. Dnia 7 maja na forpocztach zginął słynny z talentu malarskiego Polak nazwiskiem Zygmunt Orlecki; twierdzą że umyślnie narażał życie, które mu się sprzykrzyło z przyczyny nieszczęśliwej miłości, powiadają nawet że jakiś list kobiecą ręką pisany znaleźli przy nim.

— To nasz przeszłoroczny jegomość w paletocie, ozwała się ciocia.

— Szkoda go, *c'etait un belhomme! n'est-ce pas cousine?...*

Wawrzyna nic nie odpowiedziała, twarz pozostała zimna i obojętna jak dawniej, ale złośliwa pani Widmot mówiła później przed matką, że widziała łzę w jej oku!...

Myśli, o wychowaniu kobiet, przez Eleonorę Ziemięcką,

ocenione

przez Marię z Ch. P*.

Ciąg dalszy.

Były pobożne prababki nasze, bo i druga połowa rodu ludzkiego, stanowiąca przewagę w towarzystwie, dawała przykład pobożności pochodzącej z przejęcia się wiarą religijną. Jakiejże to dziś pobożności ojciec daje wzór synom?... Widząc złe skutki, niegodnego ateizmu, prawda iż surowemi słowami przypomina prawidła religii nauczanej w szkołach; lecz nie zatwierdza ich, nie popiera przykładem. Dla tego też dźwięk słów idzie mimo uszów — nieutkwiwszy w sercu. A któryż ojciec niechciałby widzieć syna w praktycznem życiu moralnym?... Możnaż te sprzeczności pogodzić?... Nie, nigdy. Religija i moralność, te dwie sprężyny cnoty i szczęścia, muszą być ogólne, inaczej są i będą bezwładne. Oświata, może i musi być stopniową, bo pojęcie człowieka jest niższe i wyższe, a chociaż objęłaby i najniższe klassy, zostanie przecież stopniową.

Ta więc sprzeczność czynów, z zasadami, którą syn równoważąc, urąga napomnieniom ojcowskiem; działa jeszcze mocniej na umysł kobiety — bo dziecie, wyrostek, wiele uwierzy przez sam wstręt do zastanowienia właściwy temu wiekowi. Lecz kobieta stanowiąca drugą połowę rodzaju ludzkiego, potrzebuje dowodów przykładem i rozumem; bo ona ma już ustalony rozum który bystro sprzeczności spostrzega. Wmówić w nią nic nie można.

Cożdziś mężczyzna żąda od kobiety?... By wierzyła w co on sam nie wierzy, by szanowała co on lekceważy, by dopełniła i utrzymywała czego sam ani dopełnia, ani dotrzymuje. I cóż ztąd wynika?... Zemsta. »Z wściekłą rozkoszą depcze ona, — jak mówi pani Ziemięcka — niekiedy wszystkie ustawy, wszelką przyzwoitość i pogróżkę opinii: a przecież pomimo

tych pozorów, w postępowaniu takiej kobiety niema cienia zmysłowości!... Uczucie i zawsze uczucie, to jej jedyne prawo, jej zguba, jej zaślepienie, jej chwała, jej urok.« Lecz ta zemsta nie pochodzi z gwałtowności passii nieuległej prawom rozsądku, jak mniema p. Ziemięcka. Już naówczas zimnoironiczny rozsądek owładnął całą jej istotę. Już ona rozważyła te prawa niesprawiedliwej, jednostronnej opinii; pogardziła niemi, na przekor je złamała i z urąganiem stanęła w obliczu tego straszydła którego mężczyzna kazał się lękać kobiecie, a sam z uśmiechem popełniając zdrożności, otrząsł z siebie jego pociski.

Podług pani Sand, obie płcie jednym powinny podlegać prawom, jednakowa sprawiedliwość ma być dla obojga; pani Ziemięcka mówi: »iż to jest paradox, paradox natchnięty szlachetnem uniesieniem, lecz szkodliwy w skutkach.« Nie pojmuję jakie szkodliwe skutki mogłyby wypłynąć, gdyby moralność obojej płci jednakowej podlegała opinii?... Pani Sand musiała bowiem to mówić co do praw opinii. Bo co do praw, czyli ustaw krajowych, i sprawiedliwości tego prawa, to mężczyzni zarówno im podlegają, na to skarzyć się niemożemy. Opinia świata, która na samych tylko cięży kobietach, jestto coś istniejącego bez zasad stałych, wypływając z charakteru, sposobu myślenia i obyczajów ludzi, objawiająca się różnobarwnie po wszystkich krajach, na niczem stale wesprzeć się niemogąc. A przecież ten fantom, tysiące ofiar z płci naszej pochłonął. — Od kogoż to zależy jeżeli nie od nas ukazać go także mężczyznom? Pogardźmy niemoralnym, a on szanując swoją sławę, będzie pozbawiony środków szkodzenia naszej.

Ciąg dalszy nastąpi.

Rozmaitość.

Młody jeden królewic zakochał się w osobie której w żaden sposób niewypadało mu dać poznać swoją miłość, a tem mniej żądać wzajemności. Tłumił to długi czas w sobie, nareszcie zachorował. Słabość jego wzmagała się coraz bardziej i zaczynano już wątpić o jego życiu. Był na dworze królewskim sławny lekarz, ten rospatrując się w oznakach jego słabości, wpadł na domysł że jej powodem jest miłość; a że królewic unikał wszelkich rozmów tego rodzaju, do wybadania go użył innego sposobu. Chorego odwidzały damy dworu, począł więc dawać szczególniejszą baczność na swego pacienta w czasie odwiedzin. Jakoż niebawem dostrzegł że ilekroć jedna bądź sama, bądź w towarzystwie mężczyzn wchodziła, chory zmieniał nagle humor, uderzenia krwi były mocniejsze, a twarz przybierała dziwną łagodność; czego przy odwidzinach innych niebyło. Niezaniedbał więc korzystać z pierwszej sposobności, i skoro został z chorym samnasam, opowiedział mu to co odkrył, a ten po niejakiem wahaniu przyznał się. Wiem, powiada, wszystkie jakie mi możesz robić uwagi, robiłem je sam sobie po tysiąc razy, ale kiedy mi ony niepomogły wtedy kiedym był przy użyciu wszystkich sił moich, nacożby się przydać mogły choremu?—Lekarz okazał żywy udział w jego cierpieniu i odszedł. Nazajutrz zapytany został od króla jak się ma syn jego.

— Zle królu! bardzo zle; niemasz dla niego ratunku. Twój syn musi umrzeć, bo się zakochał w osobie, która w żaden sposób jego być niemoże.

— Ktoż jest ta osoba? i dla czego niemoże być jego?...

— Dla tego bo już jest moją; a ja swej żony oddawać mu niemyślę.

— Mój zacny lekarzu! mój przyjacielu! i tyżbyś nie zrobił tej ofiary dla mnie, aby uratować tyle drogie mi życie syna mojego? Takażto przyjaźń twoja!...

— Nieròb mi królu wyrzutów; postaw się pierwej na mojem miejscu i rozważ czegoto po mnie wymagasz. Dajmy na to żeby mu się twoja nie moja żona podobała, i on bez niej żyć niemógł, zrobiłbyś mu ofiarę z żony którą kochasz?... Jestem pewien żebyś tego niezrobił. A skoro niezrobiłbyś ty któryś mu ojcem; jakże chcesz żebym zrobił ja, który mu niczem nie jestem?

— Ha! zawołał król; gdyby taka była wola niebios, i gdyby od tego zależało jego życie, oddałbym nietylko żonę, ale i całe królestwo, byle go tylko ratować. Tu było widać łzy w jego oczach.

— A więc królu! ty sam bądź jego lekarzem; moja sztuka nic tu niezdziała. Syn twój zakochał się w królowej, i niemoże żyć bez niej.

Król udał się natychmiast do żony. Powiadają że niewiele pracy kosztowało skłonienie ją do tego, iżby miasto podstarzałego miała małżonka młodego i rozkochanego w niej szalenie. Zapowiedziano tedy wielką uroczystość u dworu i odbyło się świetne wesele, a król oddał synowi wraz z ręką żony rząd większej części swych krajów.

Dotąd brzmi ta powieść jakby była wyjęta z tysiąca nocy i jednej. Tymczasem jestto proste opowiedzenie istotnego zdarzenia, które zaszło nad brzegami Eufratu i należy do tych jakie nam za najpewniejsze podają. I jakże niedać mu wiary, kiedy je opowiada temi niemał słowami Plutarch, Apian i Walery.

Królewic ten zwał się Antioch, jego ojciec Seleuk założyciel syryjskomacedońskiej potęgi; lekarz Erazistrat; a królowa byłato Stratonika, córka Dymitra, jedna z najpiękniejszych pań swojego wieku.

Uwiadamia się niniejszem szanownych prenumerantów że dziennik mód można prenumerować bez rycin; takowego exemplarza cena caloroczna wynosi 4 zlr. m. k.; na prowincii na rok cały z przesyłką pocztową 5 zlr. 36 kr. m. k.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.